

# Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

9

— Uspokój się pan. Potrzeba działać poważnie i ostrożnie, a do tego spokój i zimna krew przede wszystkim potrzebne. Tylko proszę mi ufać i czynić wszystko, co panu doradzę.

— Dysponuj pan moją osobą. Ufam panu, wdzięczny za to, żeś mnie uchronił od utraty żony.

Rozmawiali dość długo. Durand uspokoił się wreszcie, zgodził na plan dalszego postępowania, podany przez Stuarta i odszedł spokojny, ale zgnębiony, jak człowiek, który gorzkiego doznał zawodu.

\* \* \*

W godzinę potem Stuart idąc jedną z najbardziej ożywionych ulic, spostrzegł, że jakaś kobieta zdążyła szybko, jakby się przed kimś schronić chciała. Poznał ją zaraz. Była to też sama, na którą napadł ktoś, zranił, a Stuart przybył na pomoc i tam porfiel z listami znalazł. Istotnie goił za nią elegancki mężczyzna. Stuart poznał, że to Bradmardine.

Kobieta zmęczona zwalnia kroku; wtedy Bradmardine chwycił ją za ramię i z wściekłością szczy:

— Ha! wściekła babo! Mam cię wreszcie. Oddaj mi skradzione papiery!

— Nie mam ich, wtedy je ktoś zabrał.

— Kłamiesz! Oddaj złodziejko!

Zaczął się zbierać tłum ciekawych. Rozdrażniony Bradmardine zamierzył się pięścią na kobietę i już miał ją uderzyć, gdy jakiś młody, silny człowiek, wyglądający na rzemieślnika lub robotnika, chwycił go za rękę i zawołał:

— Nie pozwolę kobiecie uderzyć, wstydź się pan.

— Proszę nie wtrącać się w cudze sprawy. To złodziejka, muszę ją ująć i oddać policji.

— Ależ ja nie jestem złodziejką; to napaść — mówiła kobieta ze łzami.

W tej chwili zjawili się i policja. Widząc eleganckiego, bogato ubranego pana, policjanci uwierzyli, że owa kobieta jest złodziejką i chcieli ją zabrać, wtem zjawia się Stuart i szepnąwszy coś agentowi i pokazawszy mu znak jakiś, odezwał się do prześladowcy:

— Proszę natychmiast się oddalić i tej pani dać zupełny spokój. Jeżeli pan raz jeszcze napadziesz na nią, pożałujesz tego panie Bradmardine. Pani jesteś zupełnie swobodna.

Potem jeszcze dał ciche zlecenie agentowi policyjnemu i odszedł. Policja zdążyła za ową kobietą, strzegąc jej przed ponowną napaścią, dopóki nie zniknęła z oczu prześladowcy.

Zaledwie uszedł Stuart kilka kroków, zbliżył się do niego ów robotnik, co ochronił kobietę od ciosu Bradmardina i rzekł po uprzejmym ukłonie:

— Czy pan pozwoli na krótką rozmowę?

— Czego pan sobie życzy? — odpowiedział Stuart patrząc bystro w oczy robotnikowi.

— Ucisnąć dłoń pańską, panie Stuart.

— Ależ ja pana nie znam.

— I ja również nie.

— A więc?

— Poznamy się teraz.

— Kto pan jesteś?

— Francis Ferrars.

— Co? pan?

— Tak, to ja.

— A cóż za spotkanie! Witam pana serdecznie na amerykańskiej ziemi. A toż to dla mnie prawdziwa przyjemność, najmilsza niespodzianka. Jeżeli pan ma czas do dyspozycji, proszę do mnie. Poznamy się, pogadamy swobodnie; pozna pan mego przyjaciela Jocellina, sławnego pogromcę fałszerzy monet.

— Słyszałem o nim wiele.

— Zdaje mi się, żeście panowie musieli się już spotykać ze sobą.

— Nie wiem o tem.

— Ej, to pewne, bo obaj panowie ścigacie tę samą zwierzynę.

— Czy pan ma na myśli owego człowieka, którego tak energicznie odprawiliście?

— Oczywiście.

— Uważam, że go pan także nie bardzo lubi.

— Łotr skończony.  
— Więc go pan zna?  
— Bardziej, niż potrzeba — rzekł z uśmiechem Stuart.

— Ja tu z Anglii przybywam, aby go śledzić. Właściwie nie zależy mi tyle na nim, ile na osobie, której szukam, a którą spodziewam się odkryć jego z oka nie spuszczać. Lękam się, czy mi teraz nie ujdzie.

— O, niech pan będzie zupełnie spokojny — rzekł Stuart z uśmiechem.

— Pan go widzę dobrze obserwuje.

— O, tak, tak. Ale mniejsza o to. Pan szuka dwóch kobiet, nieprawdaż?

— Skąd taki domysł?

— Bardzo łatwy. Bradmardina znam na wskroś i wszelkie jego sprawy, a że wiem w jakim celu tu się kręci, toć mi nie trudno zgadnąć, po co pan przybył do Ameryki za Bradmardinem.

— Ależ w takim razie powinniśmy działać wspólnie. Zdaje mi się, że i pan szuka kobiety, będącej w związku z Bradmardina pobytem w Ameryce?

— Tak istotnie.

— Działajmy zatem razem.

## XVIII.

### WE TRZECH.

Oczywiście, że obaj ajenci znalazłszy się w mieszkaniu Stuarta, z największą swobodą użyczyli sobie spostrzeżeń, wyjaśnień niezbędnych, skoro wspólnie działać postanowili. Wnet i Jocellin się zjawił.

— A chodźże Bob! — zawołał Stuart wesoło do wchodzącego. — Czekamy z upragnieniem.

Jocellin przypatrzył się badawczo obcemu i czekał, aż go Stuart przedstawi.

— Poznajcie się towarzysze podróży — rzekł Stuart wesoło.

Obaj spojrzeli zdziwieni na mówiącego.

— Ależ tak, tak. Jeździliście razem w jednej doróżce. Bob Jocellin jako fiakier na koźle, a Francis Ferrars jako kramarz wiejski, rozkazujący fiakrowi jechać za doróżką, której wsiadł Bradmardine.

— Więc to ten, ten sławny Francis Ferrars? — rzekł Jocellin, wpatrując się w twarz gościa.

— Ten sam, a nie inny — mówił Stuart.

Obaj ajenci uścisnęli się przyjaźnie.

— A to dziwny zbieg okoliczności — mówił Jocellin — zabawna historia z tą naszą jazdą. W głowę zachodziłem, po co kramarz wiejski śledzi Bradmardina.

Rozmowa się nawiązała ożywiona, udzielano sobie wzajemnych wyjaśnień.

— Z całą ufnością opowiedziałem wam kochani towarzysze, historję dziedziczki milionowego majątku. Wiecie już, że dlatego śledzę Bradmardina, bo on walczy o spadek, walczy o milion funtów szterlingów i chce go zdobyć usunawszy ze świata właściwą spadkobierczynię. Ponieważ on szuka jej zawzięcie, więc mam go na oczach i idąc za jego śladem, chcę odkryć schronisko sieroty. Jak sądzicie? czy dopnę celu?

— To nie ulega wątpliwości. Znaleść ją pan możecie i znajdziecie, ale czy powieziecie ze sobą do Anglii, to wątpliwe.

— Dlaczego?

— Bo ciąży na niej podejrzenie, iż zabiła męża — powiedział Stuart.

Ferrars osłupiał. Stuart opowiedział mu całą historję małżeństwa Arteveldta a zarazem pokazał znalezione u ranionej kobiety listy do Bradmardina, listy oczywiście matki Leonory; opowiedział też o pobycie swym u dra Austina i w zakładzie dra Burtona.

— A czy są jakie istotne poszlaki, któreby świadczyły o winie Leonory? — zapytał Ferrars.

— Najważniejsze, czy najwymowniejsze to, że się ukrywa, że zobaczywszy mnie, znikła z zakładu dra Burtona — mówił Stuart. — Mimo tego mam to przekonanie i dążę do tego, aby niewinność jej wykazać i udowodnić, zanimby aresztowana być mogła.

— Gdyby ją stawiono przed sądem, Bradmardine odniósłby zwycięstwo. Dumny baronet nie pizekazałby dziedzictwa nawet wnuczce swojej, gdyby jej nazwisko wiązało się z dochodzeniem karnym. Choćby ją najzupełniej uniewinniono, już samo stawienie przed sądem pozbawiłoby jej dziedzictwa — mówił Ferrars.

— Dlatego to — wtrącił Stuart — działajmy

we trzech. Wyznaczę wam rolę bardzo zajmującą a sam udam się w podróż.

— Co? co? — zapłtał zdziwiony Jocellin.

— W podróż, powiadam.

— Tobie żarty w głowie.

— Słuchajcie. Bradmardine odkrył schronienie Leonory, która ukrywała się u śpiewaczki Harris i chce ją dostać w swe łapy.

— Skądże się pan dowiedzieć o tem? — spytał Ferrars.

— W sposób bardzo prosty. Pełnię u Bradmardina w przebraniu kobiecym obowiązki jego prywatnego agenta, czy szpiega, jak się wam podoba. Przysięgłoby mi to, że jestem wdową O'Neil. Przez kilka dni kazał mi grać rolę swojej siostry, aby w ten sposób zwabić do siebie Leonorę. Otóż weźcie wy w opiekę tego łotrzyka, a ja wyruszę na wyprawę po dowody, że Leonora niewinna. Co mi się nasunęło, to wam powiem w zaufaniu. Jeżeli mi się to uda, będziemy się we trzech bardzo radowali.

I opowiadał Stuart przyjaciółom o celu swej wycieczki.

## XIX.

### NIE UDAŁO SIĘ.

Bradmardine tryumfował. Miał już w swej mocy Leonorę, za którą uganiał tak długo po obu półkulach świata. Teraz zniknie przeszkoda do dziedziczenia milionowego spadku; teraz czeka go zwycięstwo w tej walce o milion.

Panna Harris przeniosła się już z Leonorą do mieszkania siostry Sennora Castro.

Wdowa O'Neil, a raczej Stuart, znamienicie wykonywała rolę siostry bogatego Kubalczyka i umiała sobie zjednać życzliwość i zaufanie obu, z czego „Sennor Castro“ bardzo był zadowolony. Zdawało się Leonorze, iż teraz zacznie się dla niej błoneczna pogoda życia.

Sennor Castro, czyli Bradmardine, wyprawił wdowę O'Neil w miasto, z poleceniem szukania owej kobiety, którą mu interwencja policji z rąk usunęła. Wdowa, wychodząc, obejrzała wszystkie zamki i klucze, a przy jednym zamku zabawiła nieco dłużej, nie spostrzeżona przez nikogo.

Wyprosiwszy wdowę, udał się Sennor Castro do pokoju panny Harris.

— Czy mogę panią prosić o wielką przysługę? — zapytał.

— Czem mogę panu usłużyć?

— Zgłosiły się do engagement dwie panienki. Obie bardzo miłe, podobne obojgu. Ale to nie wystarcza: chciałbym się przekonać o ich wokalnych zdolnościach. W tej chwili nie mam czasu, bo muszę czynić przygotowania do wyjazdu; czeka na mnie wielu interesantów. Niech pani zechce mnie wyręczyć, odbędzie próbę z temi panienkami i jeżeli pani uzna, że na scenę się przydadzą, natychmiast je zaangażuję.

Pannie Harris bardzo to pochlebilo, że Kubalczyk z takim zaufaniem porucza jej część dyrektorskich zajęć; snuła stąd miłe marzenia o przyszłości, jak w Hawannie obejrzała zwolna całkowitą władzę nad teatrem. Najchętniej zgodziła się spełnić życzenie Casra i zaraz poszła pod wskazanym sobie adresem.

Bradmardine zatarł ręce z radości. W domu niema już nikogo, prócz Leonory. Więc teraz, albo nigdy! Zanimby pomoc zawiść się mogła, zanim ktoś przeszkodzić mu zdoła, będzie panem dokumentów do uzyskania spadku potrzebnych, będzie panem życia i śmierci Leonory; może ją usunąć, zabić, porwać, uwięzić. Ma czasu więcej niż godzina, to wystarczy. A więc do dzieła!

Leonora siedziała w swoim pokoju zamyślona. Trzymała książkę, chciała czytać, ale myśli kłębiły się, od książki odrywały i ciągnęły w wir marzeń, nadziei i pragnień. Usłyszała pukanie do drzwi.

Myślała, że to „siostra“ sennora Castro, lub panna Harris i odezwała się:

— Proszę.

Jakież było jej zdumienie, gdy Sennor Castro, wszedłszy do pokoju, zamknął drzwi na klucz i klucz schował. Stał przed Leonorą ze wstętnym, sztyderym uśmiechem.

Leonora nie zlekła się, ale oburzyła tą zuchwałością.

— Sennor Castro — rzekła z godnością i energią — pan zamknął drzwi i klucz chowałeś. Proszę mi klucz oddać natychmiast i wyjść.

(Ciąg dalszy nastąpi).